

# Franciszek Ryszka

---

## Transformacja : problem teoretyczny

---

Acta Scientifica Academiae Ostroviensis nr 1, 7-21

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## ARTYKUŁY

FRANCISZEK RYSZKA

### TRANSFORMACJA - PROBLEM TEORETYCZNY

#### 1. WPROWADZENIE

Transformacja jest jednym z najbardziej popularnych tematów w naukach społecznych – jak Polska długa i szeroka. Jest hasłem wywoławczym dla różnych dociekań i bodźcem dla wielu zbiorowych i indywidualnych inicjatyw badawczych. Jest zarazem wspólnym mianownikiem dla kryteriów poznawczych różnych dyscyplin. Skoro cokolwiek „podlega transformacji”, wówczas obowiązują nas pewne priorytety. Ponieważ transformacja jest „dobra” czyli „konieczna” (w znaczeniu heglowskim?), to, co transformowane posiada pierwszeństwo nad innymi obszarami poznania.

Nasza inicjatywa, której wytwory przedstawiamy właśnie czytelnikowi, nie odbiega w zasadzie od powyższych założeń. Chcemy jednak w tych tekstach poświadczyć nie tylko nasze ambicje regionalne bądź wykazać, że jesteśmy up to date, ale wyrazić coś więcej, mianowicie rangę, czy tylko znaczenie pewnych kompleksów życia zbiorowego w Polsce, które podlegają (lub podlegać powinny) w pierwszej kolejności procesowi transformacji. Akcent położony zostaje na zjawiskach ekonomicznych, co odpowiada profilowi uczelni. Jednakże transformacja zaczyna się od przemian na szczytach władzy i od reformowania ustroju politycznego, aby stworzone zostały warunki, albo i gwarancje, że proces przebiegać będzie w pożądanym kierunku. Jeśli nie od razu i nie dla w wszystkich, to właśnie w uznanej kolejności, by zmiany dokonane zostały możliwie szybko i dla możliwie licznych grup ludności, chociaż złudnym byłoby mniemanie, jakoby poszerzenie sfery dobrobytu, bezpieczeństwa i wolności (czyli trzech najważniejszych klas wartości w cywilizowanych społeczeństwach ludzkich) przebiegać mogło jednakowo harmonijnie i bez konfliktów, z wyraźnie zaznaczonymi, a bliskimi sobie (w sensie operacyjnym) przyrostami dla wszystkich wyodrębnionych zmiennych.

Wydaje się, iż dobrze byłoby jednak zastanowić się na początku o czym to mówimy. Sądzę, że trzeba zacząć od wyjaśnienia terminu

transformacja co w prostym przekładzie ze słownika wyrazów obcych odpowiadałoby polskiemu terminowi „przekształcenie” – czyli „nadawanie nowego kształtu” istniejącemu stanowi rzeczy. Prosty odpowiednikiem byłaby „zmiana” a raczej „kompleks zamian”. Tak zresztą zdają się rozumieć „transformację” czytelnicy rozlicznych opracowań, zanim jeszcze zabiorą się do lektury, ona zaś – czyli odpowiednia lektura – powinna potwierdzać oczekiwania.

Gdybyśmy tak postawili sprawę, transformacja nie byłaby niczym innym, jak normalnym procesem historycznym, tyle że przebiega on szybciej i bardziej intensywnie, niż można się było spodziewać. Oczywiście w grę wchodzi element woluntaryzmu. W taki właśnie, a nie w inny sposób przedstawili swoje plany rządzący w PRL, jakkolwiek nie rezygnowali oni nigdy z powoływania się na rewolucję („rewolucyjne zmiany”), a trudno odmówić temu racji – bez względu na okoliczności tej rewolucji i jej faktyczne źródło. Spróbujemy rozwinąć ten wątek w dalszym ciągu.

Powróćmy na chwilę do wątku transformacji historycznych, żebyśmy mogli wyraźniej określić granice tematyczne. Zabieg wydaje się tym bardziej właściwy, ponieważ wiek XX jest okresem transformacji (w liczbie mnogiej) niebywale szybkich i brzemiennych w skutki. Dość przypomnieć, że na początku stulecia ludność świata szacowano na 1,5 miliarda mieszkańców, podczas gdy jej liczbę na rok 2000 szacuje się na 6 miliardów – wzrost zatem przyniósłby wynik czterokrotnie większy, podczas gdy stopa wzrostu bynajmniej nie maleje. Cały przyrost w ciągu stulecia jest trzy razy większy niż w ciągu 120 tys. lat.!

Przyrost ludności jest, jak wiadomo, nierównomierny, przy tym magiczna linia podziału na bogatych i biednych na osi Północ – Południe i wewnątrz bogatych krajów Północy (gdzie kryteria ubóstwa są przecież inne) nie wystarcza, aby scharakteryzować zmiany. W krajach najbardziej rozwiniętych nastąpił ogromny przyrost ludzi produkujących „rzeczywistość umysłową” – świadczą oni usługi stosowne do zawartości ich w wyedukowanych umysłów, a nie towar w znaczeniu materialnym. Ten ostatni składa się w coraz większym stopniu z umysłowej pracy uprzedmiotowionej. Na początku stulecia liczba takich ludzi nie przekraczała 10 - 15 %. Obecnie stanowią oni większość.

Wzrostowi zaludnienia towarzyszy ogromny wzrost zużycia energii. Roczne *quantum* jej zużycia, mierzone emisją dwutlenku węgla, wzrosło w latach 1938 – 1988 dziesięciokrotnie, czyli ponad czterokrotnie szybciej niż przyrost ludności. Oczywiście jest ono rozłożone wysoce nierównomiernie, z miążdzącą przewagą bogatych krajów. Rekordzistą są Stany Zjednoczone, gdzie na przykład ilość energii potrzebnej na

ochłodzenie mieszkań w upały przekracza zużycie gwoili ogrzewania tych mieszkań w zimie. Natomiast ujemne efekty ekologiczne dotyczą wszystkich: bogatych i biednych, którzy najmniej się do tego przyczynili.

Wskaźniki są tedy uderzające. Podaliśmy tylko kilka, by nakreślić tło. Okazałoby się ono bardziej wyraziste, gdyby posłużyć się wskaźnikami zmiennych opisowych, które pozwalają porównywać warunki życia ( a więc jego „jakość”) w poszczególnych krajach. Modne w latach 60-tych, zwłaszcza w USA, studia tzw. *dimensions of nations* okazały się mało efektywne, by pozwolić na spodziewane wnioski w zakresie konfliktów międzynarodowych. Niemniej sam koncept porównywania przez pomiar był niewątpliwie płodny. Pozwolę sobie przypomnieć własne badania prowadzone dwadzieścia lat temu, których część ukazała się w druku. Nie wchodząc w szczegóły, przypomnę tylko, że przeprowadziłem porównanie wartości 17 zmiennych dla 26 krajów europejskich (z wyjątkiem ZSRR ze względu na prawie całkowity brak danych) z zakresu naturalnego ruchu ludności ( w tym przyczyny zgonów na choroby zakaźne), emigracji zamorskiej, wskaźników handlu zagranicznego, zużycie energii, obroty przesyłek pocztowych na 1 mieszkańca, sieci kolejowej, stanu telefonizacji i motoryzacji dla przełomu lat 20-tych i 30-tych. Powtórzyłem obserwację dla końca lat 70-tych, aczkolwiek z koniecznymi zastrzeżeniami, chociażby z powodu zmiany mapy politycznej Europy. Głównie dla tego wyniki z lat 70-tych były tylko fragmentarycznie publikowane. Generalna ocena jest taka, że nasz kraj mieści się wszędzie na dole list rankingowych – obok Rumunii, Jugosławii i Bułgarii, poniżej Grecji, Portugalii, Hiszpanii, Irlandii i krajów bałtyckich. W dziedzinie umieralności niemowląt – co jest wskaźnikiem bardzo ważnym – Polska zajmowała przedostatnie miejsce (15,2 promile), przed Bułgarią (18,4 promile). Niewiele lepiej byliśmy umiejscowieni na liście wedle zgonów na gruźlicę.

Nie musimy chyba dodawać, że nasz obraz, naszkicowany wedle tych samych wskaźników na rok 1977, uległ uderzającej poprawie. Jednakże postęp ogarnął całą Europę i za sukces mogliśmy uznać, że nasz dystans do krajów „średnich” (Austria, Węgry, Czechosłowacja, Włochy, Hiszpania) niewiele się zmienił, przeważnie na naszą niekorzyść. Wszelako rozszerzony ogląd wedle podobnej metody, obejmujący tym razem cały świat, wskazywałby, iż zajmujemy miejsce wśród krajów bogatej Północy. W roku 1981 amerykański ekonomista Kenneth P. Jameson przedstawił pozornie prosty, lecz przekonujący wskaźnik „fizycznej jakości życia” (Physical Quality of life Index, w skrócie PQLI), bazujący na trzech zmiennych: (1) szansa przeżycia mierzonej dla kobiet od 1 roku życia, (2) umieralności niemowląt i (3) literacji. Jeśli przyjąć

wartość tego wskaźnika na skali od 1 do 100 – wedle danych za rok 1979, okaże się, że powyżej wartości 90 PQLI znajduje się Ameryka Północna (USA i Kanada), Europa – z wyjątkiem Portugalii i Jugosławii, azjatycka część ZSRR, Japonia, Australia i Nowa Zelandia. Poniżej 30 – co wskazuje na tragiczne zacofanie – mieściłby się prawie cały pas równikowy Afryki, Afganistan, Laos i Nepal, lecz także potentat naftowy Arabia Saudyjska – jeden z krajów o najwyższym dochodzie narodowym brutto, mierzonym *per capita*. Nie przesądzając w użyteczności wskaźnika PQLI, wolno nam jednak wskazać na dyskusyjność wskaźnika GNP *per capita*, skoro jego wysoka wartość dla danego kraju nie pomaga, aby ludzie przestali żyć krótko i w ciemnocie. Skoro już o tym mowa, warto zwrócić uwagę na uderzającą zależność. Strefa „bogatej Północy” – czyli tam, gdzie wartość PQLI  $\geq 90$  jest zarazem strefą niskiego przyrostu naturalnego, czyli mniejszego niż 1 %. Wyjątek, wedle stanu na 1979 rok stanowiła Polska, gdzie przyrost przekraczał taką wartość i to nie tylko ze względu na relatywnie wysoką przeciętną długości życia („szansę przeżycia”), ale głównie dzięki wysokiej rozrodzności, mimo wciąż znacznej umieralności niemowląt (dzieci do 1 roku życia).

Naszkicowane, choć w grubych konturach, tło ułatwi nam – jak sądzę – ustalić nasze miejsce, skąd zaczyna się transformacja. Poważny kryzys początku lat 80tych osłabił naszą pozycję w skali europejskiej i światowej. Rozmiary tego kryzysu oraz jego trwałość bywają często przesadnie oceniane z pozycji centrowo-prawicowych, zwłaszcza ze strony opcji radykalno-liberalnej. Trudno jednak nie zgodzić się z opinią o politycznych czynnikach kryzysu. Nie mogło ich jednak nie być – przecież sama transformacja zaczyna się od decyzji politycznych, które prowadzą do zmian ustrojowych – wskutek klęski politycznej rządzącej ekipy PZPR i – w następstwie tego – dobrowolnej (przynajmniej częściowo) rezygnacji niedawnych władców PRL. Stąd też słusznym wydaje się – zacząć od transformacji politycznej. Zresztą zaczęła się ona wcześniej i przebiegała stosunkowo bezkolizyjnie, aczkolwiek nie wydaje się, aby nasz kraj już teraz spełniał warunki demokratycznego państwa prawa, nie tylko wedle kryteriów Unii Europejskiej, ale stosownie do modelu teoretycznego, który można wprawdzie przedstawić w opisie historycznym, ale rysuje się on wyraźniej w postaci teoretycznego abstraktu. Starłem się taki model przedstawić niedawno w innym miejscu. Ponieważ nie spotkałem się z żadną polemiką, ani tym mniej – z protestem, wolno mi odesłać czytelnika do tamtego tekstu.

## 2. TRANSFORMACJA POLITYCZNA

Idea zmiany ustrojowej, o niezbyt jasnym wprawdzie charakterze, jawiła się stosunkowo wcześniej, bo pod rządami Zbigniewa Messnera, w czasie gdy łagodzone powoli restrykcje stanu wojennego, osobliwie – w sferze ekonomicznej. Wrzawa propagandowa wokół zmian – od zwyczajnego gadulstwa na konwentyklach partyjnych, po niezbyt udane produkty kultury masowej (np. piosenki na cześć „reformy” w konwencji nieomal zmysłowej) – nie mogła przecież przesłonić zjawiska, że nic się naprawdę nie działo. Jednakże, odpowiednie referendum (29 listopada 1987) na rzecz poparcia lub odmowy dla reform (wykoncypowane zresztą w sposób dla głosujących dość niejasny) zakończyło się fiaskiem, co można było uznać za votum nieufności dla generała Jaruzelskiego. Rok później (19 września 1988) rząd Messnera upadł – po raz pierwszy w historii PRL wskutek sejmowego votum nieufności. Można się było jednak spodziewać, że tym razem coś powinno się dziać i że zmiana polityczna jest nieuchronna.

I tak się stało. Zniesienie restrykcji (a więc praktycznie monopolu) w handlu zagranicznym przez rząd Rakowskiego w grudniu 1988 roku było pierwszym, niedocenionym wciąż krokiem na drodze wycofania się ekipy rządzącej z uświęconych – wydawałoby się – prerogatyw. Spowodowało to wprawdzie istny chaos na granicach kraju, w następstwie zaś – lawinowy napływ niepożądanych towarów na rynek krajowy („afera alkoholowa”), niemniej ważna część gospodarki wyrwana została z decyzyjonistycznego sposobu sprawowania władzy. Okazało się przy tym, że stare normy (prawo celne, podatkowe, restrykcyjna kontrola biurokratyczna) tracą rację bytu. Nagle okazało się, że istnieje coś takiego jak prawo zobowiązaniowe – w części dotyczącej podmiotowości gospodarczej, że nigdy nie został uchwalony kodeks handlowy, że indywidualny handel może stać się ważnym składnikiem gospodarki narodowej miast błąkać się na peryferiach organizacji społecznej jako marginalna „inicjatywa prywatna”, narażona tyleż na samowolę, co na korupcję organów władzy. Zniesienie zakazu obrotu walutami obcymi stało się następnym ważnym aktem zmiany. Do spraw społecznych jeszcze wrócimy. Na razie chodzi nam o przypomnienie, że przy pomocy aktów władzy utworzone zostały struktury, które będą się szybko i konsekwentnie umacniać i że rychło przemieszczą się wyżej z rezerwatów przygranicznego i ulicznego folkloru, co dla niektórych stanie się źródłem nieprzerwanej irytacji, dla innych – wyraźnym ułatwieniem życia, dla jeszcze innych – początkiem kreowania pokaźnych fortun i zmiany stylu życia. Nie chcemy w ten sposób wyrazić przesadnego entuzjazmu wobec

tego, niezupełnie jeszcze historycznego fenomenu. Wydaje się, że w Polsce już grubo za wiele „bazaru” i bazar zdaje się dominować w gospodarce rynkowej, uwikłanej – najdelikatniej mówiąc – w strukturalne trudności. Ważne jest, że transformacja zaczęła się od „bazaru”, i że początek pochodzi od uwolnienia inicjatyw gospodarczych z mocy decyzji państwowych – i to wbrew nieudolnemu i konserwatywnemu aparatowi. Co miało być wyjątkiem, stało się zasadą.

Nie można pominąć autonomicznych czynników duchowych. Najpierw wybór (październik 1978), później wizyta w kraju papieża – Polaka (wczesnym latem 1979) okazały się znaczącą zachętą dla niezależnego myślenia i – co wydaje się bardziej ważne – do niezależnego działania. Zrazu postulaty były skromne, kadra działaczy dająca się określić jako „opozycja polityczna” – jeszcze skromniejsza. Ważne było wszelako, że tym razem czynniki konstruktywne formowania się opozycji politycznej przeważały nad destrukcją. Później – licząc od powstania „Solidarności” – zaczęły się podziały, zaskakujące zmiany orientacji „wojny na górze” itp. Ale to później, przy końcu dekady. Na razie pojawiły się rzeczywiste przesłanki inicjatyw politycznych, za zgodą władz lub przeciw władzy. „Okrągły stół” nie daje się wytłumaczyć przy pomocy teorii spiskowych jakkolwiek nie można lekceważyć poufnych kontaktów między ludźmi władzy i ich przeciwnikami ze sfer duchowych i świeckich. Kompromis miał wymiar polityczny. Dokonywał się przecież na gruncie pierwszych reform gospodarczych. Te ostatnie silniej animowały zwykłych ludzi, docierały bowiem głębiej, niż to się wówczas wydawało.

Najważniejszą cezurą wydaje się niewątpliwie zmiana władzy w ZSRR i następujący po tym rozpad całej formacji politycznej. Bez tego żadna poważna transformacja, tak w Polsce, jak w innych krajach „obozu” nie miałyby szans, co trzeba wyraźnie powiedzieć. Dowodem na to są podobieństwa w reformach politycznych, niezależnie lub słabo zależnie od stanu liczbowego opozycji i jej stopnia zorganizowania. Polska wyprzedziła inne kraje siłą tych dwóch czynników, ale pierwsza faza reform politycznych po 1989 roku przebiegała podobnie do krajów, gdzie czynniki owe występowały słabiej, np. w Czechosłowacji i na Węgrzech, nie mówiąc już o NRD. Natomiast Polska, kraj w porównaniu do wyżej wymienionych bardziej zacofany i drażony poważniejszym kryzysem szybciej i skuteczniej wdrażał reformy rynkowe. Prosta obserwacja życia codziennego po trzech latach funkcjonowania wolnego rynku pozwala np. stwierdzić, że podróżny, który zawędrował na tzw. głęboką prowincję, może kupować i korzystać ze wszelkich usług wyłącznie u

przedsiębiorców prywatnych. W sąsiednich Czechach jesienią 1992 było to jeszcze niewyobrażalne.

Nie wdajemy się wszakże w detale ani nie budujemy sądów ogólnych na podstawie własnych powierzchownych doświadczeń. Pozostaniemy przy transformacji politycznej wedle kryteriów zmian ustrojowych. Ich skutki społeczne są zapewne nie do końca widoczne, aczkolwiek mamy do czynienia ze zjawiskami, które można nazwać strukturalnymi, albowiem generują względnie trwałe elementy struktury. Można je również rozpatrywać wedle kryteriów systemowych, przypominając najprostszą definicję słownikową, wedle której (1) system składa się z dających się zidentyfikować elementów, (2) pomiędzy różnymi elementami istnieje przynajmniej jedna dająca się zidentyfikować zależność i (3) niektóre zależności implikują inne. Posłużywszy się powyższą definicją możemy powiedzieć, że powstał system polityczny III Rzeczypospolitej, nie przestając być systemem dynamicznym, tzn. posiadającym dodatkową cechę (4) – tę mianowicie, że pewien kompleks zależności w danym czasie implikował przynajmniej jeden inny kompleks, albo będzie implikował z wysokim stopniem prawdopodobieństwa jeden z możliwych różnych kompleksów w przyszłości. Oto właśnie uogólnienie teoretyczne transformacji jako procesu historycznego.

Wskazaliśmy powyżej na granicą czasową *a quo*. Skoro jednak, dla celów poznawczych powinna to być cezura dostatecznie wyraźna, umówmy się na datę „kontraktowych” wyborów 4 czerwca 1989 roku. Granicą zamykającą proces transformacji niech będzie wejście w życie nowej konstytucji, wybory z 21 września 1997 roku i powstanie nowego rządu. Poczynania tego rządu są nadal „transformacją”, choć Bogiem a prawdą ten rząd nie uczynił jeszcze wiele. Niemniej należy do systemu, zapowiada aktywizację pewnych zależności, inne natomiast zamierza osłabić. Z tego tytułu godzien jest, aby zająć się tym w trybie badań politologicznych, ekonomicznych i socjologicznych.

Sam rząd i jego polityczne zaplecze, wspierane przez prawników publicystów w kraju i głoszą, iż najważniejsze niedomogi naszego życia pochodzą z nieprzewyciężonych pozostałości PRL-u i że winić za to trzeba „postkomunistów”, bez próby sensownego wyjaśnienia, co ten termin znaczy. Czy chodzi tu o dawnych członków PZPR (ew. „stronnictw sojusznicznych”, czyli ZSL i SD), czy tylko tych, którzy posiadali większość parlamentarną w latach 1993-1997 i formowali wtedy rządy, a także przyczynili się do wyboru aktualnego Prezydenta RP, obdarzanego również takim epitetem? Niewątpliwie odwołanie się do przeszłości ma pewien sens, chociaż akurat dotyczy to najmniej przeszłości żywych ludzi, jeśli zdążyli się jeszcze uwikłać w proces



władzy po 1989 roku. Natomiast aktualne słabości systemu politycznego są głównie wynikiem aktualnych błędów, wśród których więcej niż spory udział zapisać trzeba na konto formacji prawicowych lub centroprawicowych, nazywanych (niezbyt precyzyjnie) „postsolidarnościowymi”. Z pewnością można tu zaliczyć niskie kompetencje w uprawianiu polityki połączone z mesjanistycznym niemal wyobrażeniem o szczególnej prawowitości własnego rządu. Na peryferiach, a niekiedy nie tylko na peryferiach, pełni się czysta nienawiść, która zwykle zaciemnia myśl – przynajmniej w sferze autokrytyki. Jeśli głównym wyznacznikiem jest antykomunizm, gdy równocześnie mówi się, iż sam komunizm należy do nieodwracalnej przeszłości – nie daje się takiej podstawy przełożyć na sensowne działania polityczne. Na tym by można ocenę naszą skończyć. Nie znaczyłyby to jednak, aby lekceważyć napięcia polityczne, zwłaszcza że nic nie tracą na ostrości i nic nie wskazuje, aby zdrowy kompromis miał zastąpić spory w sprawach drugorzędnych, skoro zagrożony wydaje się – i to poważnie – postęp, jaki osiągnęła Polska w przyswajaniu gospodarki rynkowej. Fakt, że Wspólnota Europejska nie kwapi się do włączenia naszego kraju w charakterze pełnoprawnego członka, powinien dawać przynajmniej do myślenia, skoro głosy krytyczne ze strony poważnych kręgów opiniotwórczych zdają się być częstsze, a nie dotyczą tylko objawów gospodarczego zacofania. „Dobre rady” na temat rozliczeń z przeszłością wydają się ostatnio mniej liczne i mniej pewne siebie w porównaniu do krytyki obrzędowego, a mało tolerancyjnego katolicyzmu i agresywnego antysemityzmu, nie mówiąc już o niebezpiecznym wzroście przestępczości (narkotyki !), która przenikać ma z Polski na Zachód, przenosząc tam fatalny wizerunek polskości.

Jakość życia politycznego kwalifikuje niewątpliwie przebieg i sens transformacji. Jednakże badania trzeba zacząć od analizy systemu, co oznacza, iż koncentrować się trzeba najpierw na obrazie instytucji. Skoro granicą *ad quem* jest data ogłoszenia wraz z datą wejścia w życie konstytucji z 2 kwietnia 1997 roku, wypada od razu zwrócić uwagę na nieomogony tego aktu, nie tylko w drodze interpretacji *ex lege*, ale z krótkich wprowadzień, niemniej pouczających doświadczeń praktyki prawno-politycznej. Nieprecyzyjne, a co najmniej niekonsekwentne uregulowanie wzajemnych stosunków między egzekutywą a legislatywą oraz (co ważniejsze !) w samej egzekutywie, jak też rozpaczliwa w niektórych aspektach degradacja sądownictwa, fatalny stan bezpieczeństwa obywateli plus niezmiennie przejawy niewydolności i korupcji służb publicznych – wszystko to razem nakazuje wręcz postawienie pytania, w jakim stopniu są to nieuchronne, acz uboczne

skutki transformacji, w jakim zaś zło pochodzi z założonego z góry, politycznego konceptu.

Posłużmy się jednym przykładem: wybór głowy państwa następuje w trybie głosowania powszechnego, z czym można wiązać, iż władza jej będzie silna. Tak jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie prezydent jest bez żadnego pośredniego ogniwa szefem rządu, inaczej cokolwiek we Francji V Republiki, podobnie jak w Rosji. Tymczasem w Polsce pod panowaniem nowej konstytucji władza prezydenta jest wyraźnie ograniczona: właściwym szefem egzekutywy jest premier. Stosunki parlamentu (prawicowego) do prezydenta (pochodzącego z formacji lewicowej) układają się w Polsce źle. Wyraźnie gorzej niż francuska *cohabitation*, sprawdzona w dwóch przeciwstawnych układach. Wynika to z intensywności napięć natury politycznej, którym nie jest się w stanie przeciwstawić niska kultura polityczna Polaków.

Przykład drugi: notoryczna niewydajność wymiaru sprawiedliwości, głównie wskutek przeciążeń w sprawach cywilnych (następstwa gospodarki rynkowej) i dziwaczne pojmowanie „praw człowieka” w sprawach karnych powodują, że transformacja tych elementów systemu zapisuje się na pozycji *debet*.

Przykład trzeci, najświeższej daty i być może najważniejszy. Toczy się w tej chwili debata nad reformą samorządową, której wynik zdaje się być przesądzony, ponieważ projekt reformy będzie miał za sobą większość parlamentarną. Debata toczy się, jak wiadomo, nie od dziś, dzisiaj zmieniły się podziały *pro* i *contra*, zmieniły się wskutek rzucających się w oczy kontrowersji ideologicznych i politycznych, a nie rzeczowych. Wiadomo, że samorząd był i jest czymś w rodzaju *idée fixe* dla liberałów z Unii Wolności, w tym bowiem układzie samorząd miał być jedną z najlepszych gwarancji demokracji. SLD w poprzedniej kadencji opowiadała się za samorządem, jakkolwiek do pewnych granic. Granicą miało być kreowanie na nowo powiatów, głównie jako jednostek samorządowych. Teraz SLD jest przeciw – z podobnie niejasną argumentacją, jaką głosił jej niedawny sojusznik koalicyjny. Zwykły obserwator sceny politycznej, mający niejaki doświadczenie i wiedzę, z trudem tylko może pokusić się o wniosek, o co naprawdę chodzi, jeśli chodzi o coś więcej niż być przeciw układowi rządowemu. Tenże rząd wcale nie ułatwia obserwatorowi sprawy. Podobnie jak w danej argumentacji UW, uzasadnienia są płytkie, niezmiennie „ideologiczne”, a nadto ufundowane na założeniach, najdelikatniej mówiąc, nieprzemysłanych. Sytuacja jest wręcz żenująca, skoro do tej pory nie wiadomo, jaka ma być geografia nowego podziału na województwa i powiaty. Do tego dochodzą aspiracje środowisk regionalnych, np. że

Częstochowa, miasto niejako „święte” powinna zachować status wojewódzki. W tym punkcie transformacja przedstawia się fatalnie, skąd wszakże niewątpliwy bodziec, aby sprawa stała się obiektem niezależnego badania, np. – z perspektywy Ostrowca Świętokrzyskiego.

### 3. GOSPODARKA

Reforma podziału administracyjno - terytorialnego budzi zrozumiwały niepokój m.in. dlatego, że projektuje się ją jakby bez uwzględnienia czynników gospodarczych. Tak przynajmniej suponować można śledząc opinie mediów. Tymczasem media – mam na myśli tylko odpowiedzialne środki przekazu – przyznają na ogół, iż stan gospodarki polskiej jest dobry, a to pośrednio oznacza pochwałę rządów dawnej koalicji. Ze sfer rządowych, osobliwie z kręgu AWS, wygłasza się sądy przeciwstawne. Najmniej przeważa zdanie większości Polaków, zaliczanych do tzw. klas średnich, ściślej mówiąc – beneficjentów transformacji gospodarczej, których jakość życia uległa niekwestionowanej poprawie. Ostatnio wskaźniki zadowolenia, wywiedzione z badań demoskopicznych, obniżają się. Czy jest to tylko wynik niefortunnych decyzji nowego rządu, to inna sprawa. Warto się nad nią zastanowić, gdyż problem prowadzi także do teorii transformacji.

Jednym z najważniejszych kryteriów transformacji gospodarczej jest prywatyzacja majątku państwowego. W opinii centro – prawicy odbywała się ona zbyt wolno, o co oskarża się opozycyjną w tej chwili lewicę. Dopiero pełna prywatyzacja – oto zależny argument prawicowych liberałów – spowoduje konkurencyjność polskich towarów. Chociaż nie wyjaśnia się, jaką gałąź produkcji należy preferować na rzecz eksportu – tu bowiem sytuacja jest najgorsza – przecież wystarcza prawie wiedza potoczna o tym, co się opłaca, a co nie opłaca.

Opłaca się niewątpliwie handel bazarowy, jakkolwiek wiedza nasza polega na szacunkach nazbyt ogólnych, aby wyciągać stosowne wnioski. Należy on w większości do „szarej strefy”, ta zaś swoich osiągnięć ze zrozumiątych powodów nie ujawnia. „Szara strefa” obejmuje w ogóle sporą część usług – np. budowlanych w miastach, nie wiadomo jednak, jak odbija się ona na rynku pracy. Intuicja i obserwacja potoczna wskazują, że w tej dziedzinie „szara strefa” posiada znaczący udział.

Przysłowiową „piętą achillesową” transformacji gospodarki polskiej jest rolnictwo. W tej branży najtrudniej nam będzie porozumieć się z Unią Europejską. Widać to już dziś, mimo że dla tworzenia GNP i u nas ranga rolnictwa maleje, generalnie zaś rzecz biorąc – oczywistą staje się malejąca rola samej produkcji farmerskiej w potężnym kompleksie

żywnościowym przodujących w tej dziedzinie producentów i eksporterów. Oblicza się, że udział pracowników umysłowych i menadżerów oraz robotników w przetwórstwie i transporcie jest dzisiaj sześć razy większy (w sensie zatrudnienia całego kompleksu żywnościowego) niż udział farmerów. Zatrudnienie w wymienionym na końcu zawodzie nie wymaga już tak ciężkiej pracy jak ongiś. Nie znaczy to aby bycie rolnikiem – producentem na wsi zyskało tak bardzo na atrakcyjności. Gdzie tylko to możliwe, wieś wyludnia się, skoro i tak zmechanizowana i posługująca się sownicie chemią (niekiedy na niebezpieczną dla zdrowia skalę) siła robocza wystarcza dla samej produkcji.

Dla Polski jest to sprawa szczególnej wagi, nie tylko dlatego, iż wskazuje na nikły wpływ prywatyzacji. Wieś polska jest, na dobrą sprawę, od dziesiątków lat „sprywatyzowana”. Próby rozszerzenia prywatyzacji kosztem odłogów popegeerowskich nie przyniosły prawie żadnych efektów, czemu specjalnie dziwić się nie można. Nie chciałbym powiedzieć, że jest to swoista „zemsta historii”, a raczej pogrobowy wpływ PRL-u. Zmiany dokonane we władaniu ziemią w latach 1944 i 1946 (kolonizacja Ziemi Zachodnich) wywierają znacznie poważniejszy wpływ na całą gospodarkę, niż się wydaje lub stać się powinno, gdybyśmy kierowali się samą kapitalistyczną racjonalnością, głoszoną (choć jakby z mniejszym zapalem) przez liberałów.

Wśród lewicowo nastrojonych historyków i politologów na Zachodzie istnieje pogląd, któremu i ja hołduję, iż skuteczność rewolucji politycznych mierzy się względną trwałością zmiany w dystrybucji własności, jaką przeprowadziła rewolucja. Tak było we Francji, w Anglii („chwalebna rewolucja”), w Rosji, w różnych innych krajach, które stary Marks nie umieszczał na „pruskiej drodze kapitalizmu”. Przyjmując taki punkt widzenia, a daje się on niewątpliwie utrzymać, Polska przeżyła po drugiej wojnie światowej autentyczną rewolucję, skoro żadna licząca się siła polityczna w III Rzeczypospolitej nie poważyła się dotąd (i prawdopodobnie nie zamierza) odwrócić zmiany spowodowane reformą rolą 1944 roku, niezależnie od tego, że reforma została wprowadzona wbrew wszelkim procedurom demokratycznym, a cała rewolucja odbyła się pod osłoną obcych bagnetów. Brak jakiegokolwiek chęci do zmiany, to nie samo „widzimisię” Pawlakowego aktywu PSL, lecz utrwalenie kompleksu elementów systemu, który implikuje fundamentalną tezę o „gospodarstwie rodzinnym”. Zasada weszła *expressis verbis* do konstytucji (art. 23) i chroni ją nadto art. 65 pkt. 2 ustawy zasadniczej. Chociaż wiele się mówi o bezprawności aktów władzy ludowej dotyczących wywłaszczenia w początkowej fazie istnienia państwa, pomija się milczeniem stan rzeczy stworzonych przez reformę z 1944 roku.

Własność nieruchomości wszelkiego rodzaju, na wsi i w mieście, wymaga pilnej regulacji. Nie może być jednak stabilizacji, jeśli nie nastąpi usprawnienie funkcjonowania sądów. Zwyczajny wpis do ksiąg wieczystych przeciąga się na miesiące. Cóż dopiero, gdy powstaje spór np. w obrębie prawa spadkowego, spółek prawa cywilnego itd. Przystosowanie przepisów do wymogów Unii Europejskiej właściwie się jeszcze nie zaczęło. Odzywają się natomiast z zagranicy opinie o rewindykacji praw z tytułu własności przed zakończeniem wojny, co dotyczy głównie obiektów należących do Niemców. Nie nastąpiła z naszej strony żadna wyraźna deklaracja, jak uczyniły to władze czeskie, ucinając wszelkie dyskusje. Mówiąc krótko: zreformowanie systemu prawnego wydaje się jednym z pierwszych tematów wprowadzających do badań nad transformacją gospodarki. Sądzymy, że czynniki pozaekonomiczne, jeśli tak można zakwalifikować odczucia stabilizacji w związku z bezpieczeństwem obrotu prawnego, winny być rozważane bardzo serio.

Tymczasem debaty nad transformacją gospodarki prowadzone są dość jednostronnie. W centrum uwagi są przyrosty dochodu narodowego, inwestycje *sub specie* rentowności przedsiębiorstw i finanse podmiotów publicznych, rozpatrywane z reguły wedle założenia, że „na wszystko brakuje”. Mniej się mówi i pisze o dystrybucji i redystrybucji dochodu narodowego, generalnie zaś – o bezpośrednich efektach gospodarczego wzrostu, co by sprowadzało się do prostej formuły: komu żyje się lepiej, a kto idzie w dół. Nie kwestionuje się związków systemowych, ale hołduje się jakby niepisanej zasadzie, że sprawy społeczne należy rozpatrywać osobno, nawet gdy rozpatruje się ekonomiczne (tzn. oceniane wg opłacalności) zasady zatrudnienia. Dwa nie zawsze przystające do siebie wątki – zdają się przeważać w debatach i publikacjach naukowych, by pominąć ubogą skądinąd publicystykę. Pierwszy z nich możemy określić jako paternalistyczno – charytatywny, drugi – racjonalno – socjologiczny, zakładając, iż są to nazwy umowne, wystarczające jednak do projektowania inicjatyw poznawczych. O tym właśnie w końcowym fragmencie naszego wstępu.

#### **4. PRZEMIANY SPOŁECZNE**

Bylibyśmy w rażący sposób w niezgodzie z prawdą, gdybyśmy kwestionowali znaczący dorobek nauk społecznych w opisywaniu i interpretowaniu społecznych następstw transformacji. Bez trudu można wymienić wiele poważnych placówek badawczych i znanych nazwisk, których dorobek pisarski, dostępny przynajmniej wtajemniczonym, świadczyłby o twórczym zainteresowaniu sprawą. Ostrożność

nakazywałyby wprawdzie przyglądać się krytycznie działalności różnych gremiów doradczych, kreowanych z rozmachem za prezydentury Wałęsy. Dzisiaj słyszy się o nich niewiele, co by znaczyło, iż inicjatyw tych nie należało od początku traktować zbyt poważnie.

Zdumiewająco nikłe są także osiągnięcia związków zawodowych, co nie dotyczy tylko „Solidarności”. Związki oczywiście prowadzą intensywne działania rewindykacyjne, osobliwie – w wydzielonych grupach branżowych, choć sukcesy strajkujących są raczej nikłe, mimo atakowania szczególnie podatnych na zakłócenia ogniwi sieci społecznej (służba zdrowia, komunikacja miejska). Natomiast mało słyszy się o strategicznych koncepcjach związkowych. Nawet sprawa przywilejów branżowych – jeśli nie służy doraźnym rozgrywkom – zdaje się nie wzbudzać poważniejszego zainteresowania, w celu reinterpretowania tej sprawy zgodnie z wymogami, albo następstwami procesu transformacji. Wciąż mało się słyszy o działalności związków w przedsiębiorstwach prywatnych, szczególnie tych mniejszych (o kilku- lub kilkunastoosobowych załogach), gdzie arbitralne postępowanie przedsiębiorcy narusza często w rażący sposób prawo pracy.

Stosunkowo wiele mówi się i pisze o bezrobociu. Po pierwsze dlatego, iż zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż bezrobocie – w obecnej fazie istnienia rozwiniętych gospodarczo krajów – posiada charakter strukturalny, nie wiąże się tedy bezpośrednio ze zjawiskami, nazywanymi ongiś kryzysem. Prognozy formułowane na teoretycznym gruncie „społeczeństwa postindustrialnego” też nie są zachęcające. Można – tak, jak prof. Adam Schaff – postrzegać aspekt pozytywny, polegający na tym, że dotychczasowym „ludziom pracy” (dla których zatrudnienia nie będzie, bo być nie może), wymyśli się różne inne zajęcia. Jednakże tego rodzaju rozumowanie mieści się jakby ponownie na granicy utopii. Dlatego trudno zalecać studia w tej dziedzinie.

Pozostajmy na twardym gruncie naszej polskiej rzeczywistości. Jeśli ekonomiści, zwłaszcza orientacji liberalnej, zajmują się bezrobociem w sposób wybiórczy i ograniczony (racjonalność ekonomiczna nakazuje dalej zwalniać ludzi z pracy!), to socjologowie nie rezygnują z dociekliwości badawczej i mają – jako się rzekło – niejedno do powiedzenia. Niemniej dostrzec można wyraźnie rażące zaniedbania, np. w kwestii związków między bezrobociem a ubóstwem, które to związki – wbrew pozorom – nie są takie oczywiste. Oczywiste być nie mogą m. in. dlatego, że definicja bezrobocia nie może być inna niż administracyjno – urzędowa, tzn. administracja określa, kto jest bezrobotnym, a kto nie jest. Administracja państwowa kontroluje stan bezrobocia poprzez świadczenia

ustawowe, ale niekoniecznie musi wiedzieć, jak naprawdę żyją poszczególne grupy, a jeszcze mniej – całe rodziny lub pojedynczy ludzie. Wiąże się z tym definicja ubóstwa, które wymyka się terminologii administracyjnej, nie bardzo też poddaje się klasyfikacji wedle globalnych wskaźników, np. dochodu narodowego (GNP) brutto podzielonego przez liczbę mieszkańców. O ułomności pomiaru *GNP per capita* można napisać osobny traktat, wymieniając zarówno wady metodologiczne, jak i rzeczowe (czyli proste) błędy w kwalifikacji przedmiotowej i w samych obliczeniach. Nie mówię już o propagandowych manipulacjach w rodzaju tych, co każą nam porównywać nasze zarobki w dolarach za czasów PRL z aktualnym. Nie bacząc na śmiesznie niskie ceny towarów i usług reglamentowanych (np. czynsze w lokalach kwaterunkowych, darmowe lub prawie darmowe wczasy i inne świadczenia socjalne), trudno porównywać nawet ceny towarów wyższej lub bardzo wysokiej (na polskie standardy) użyteczności. Samochód niskiej klasy np. Fiat 126 p jeszcze na początku lat 80-tych kosztował ok. 1000 \$. Dziś za samochód tej samej klasy trzeba zapłacić cztery razy tyle, za telewizor kolorowy – pięć razy tyle. O cenie mieszkań lepiej nie mówić, gdyż są one poza zasięgiem możliwości tzw. ludzi pracy, przy wcale nie krótszym lub niewiele krótszym czasie oczekiwania na wybudowany lokal.

Byłoby oczywistym fałszerstwem negować awantaże w zaopatrzeniu ludności wokół wskaźnika średniej ogólnokrajowej (ok. 1000 zł wg danych oficjalnych). Bogaty w towar rynek stwarza niewyobrażalną dotąd ofertę, podczas gdy wysokie ceny nakazują przesuwać, ale i różnicować popyt na towary niższych potrzeb, jak żywność i odzież. W obu wypadkach jakość się ewidentnie poprawiła, stąd prawidłowe będzie orzeczenie, że ludzie średnio zarabiający odżywiają się lepiej (może należałoby powiedzieć: bogaciej, ale równie niezdrowo) i częściej kupują nowe ubrania. Jeśli mają lub użytkują trwale mieszkania, łatwiej im dokonywać renowacji i kupować meble. W końcu owe 450 tys. nowych samochodów, jakie nabyli Polacy w roku 1997, coś znaczy. Jeśli natomiast jest bliskie prawdy oszacowanie, iż ok. miliona dzieci szkolnych wybiera się codziennie do szkoły bez śniadania, bo rodziców na to nie stać – to wszelkie znamiona poprawy nikną wobec tego wstrząsającego zjawiska. Jest ono czymś jakościowo innym od patologicznej bezdomności, spektakularnej nędzy występującej wszędzie na ulicach, zebraniiny i – nie na ostatnim miejscu – drobnej przestępczości. To wszystko istniało już w PRL-u (aczkolwiek w znacznie mniejszym rozmiarze), tyle, że było skrętnie ukrywane.

Rosnąca, rzec można – lawinowa, przestępczość w jej najgroźniejszych objawach wynika z wielu przyczyn. Na pewno można to

wiązać z procesem transformacji, czy raczej jej niedomogów, ale aspekty gospodarcze nie są najważniejsze. Objawy degradacji warunków życia wiele mają źródeł. Niestety jego jakość, mierzona objawami zadowolenia lub niezadowolenia, podnosi się znacznie wolniej od wskaźników gospodarczego rozwoju, jeśli w ogóle się podnosi, skoro ostatnie badania opinii publicznej tego nie potwierdzają.

Nie chodzi tu tylko o same oceny, od których przecież uwolnić się nie można. Nie chcemy na pewno kierować naszych badań w tą stronę, aby od razu natknąć się na supozycję działania na rzecz jakiegokolwiek opcji politycznej. Naszym zadaniem jest opisywać i komentować, a dopiero później przyjdzie czas podsumowań, niezbędnych w fazie generalizacji.

W tym momencie wystarczy określić obszar poszukiwań. Lokalizacja naszej Uczelni wskazuje sama przez się, iż problemy industrialnego Ostrowca Świętokrzyskiego nadają się wyjątkowo, by z lokalnych badań uczynić interesujące „studia przypadków”. Z tą myślą oddajemy nasz zeszyt w ręce Czytelnika, z przeświadczeniem, że działamy dla dobra wiedzy w skali całej Polski.

**Notka bibliograficzna:** Rozległość a zarazem kompleksowość tematyczna, owocująca niezliczoną ilością publikacji, powstrzymały mnie od posługiwania się przypisami i przyjęcia konwencji eseistycznej. Być może należało wyeksportować teksty, które zawierają refleksję teoretyczną lub do takiej refleksji skłaniają. Z całą pewnością wskazać mogę na jeden, moim zdaniem, niedościgły. Jest to utwór jednego z naszych najwybitniejszych filozofów, prof. UAM w Poznaniu Leszka Nowaka pt. *O zagadnieniu tak zwanej transformacji ustrojowej*, [w:] *Spoleczna transformacja w refleksji humanistycznej*, (red.) Krystyna Zamiara, Poznań 1994, str. 17-129.

Przytoczone w powyższym tekście liczby pochodzą z mojej książki pt. *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne*, Warszawa 1984, str. 408 – 411 i z artykułu Władysława Matwina pt. *Co się stało z naszym światem; „Odra”*, Wrocław, nr 11/1997, str. 37 – 40/.